№ 3. Warszawa, dnia (9) 21 Stycznia 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1. Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25, półrocznie . „ 2.50, rocznie . . „ 5.—

Rękopisów n niejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie **flor. 1.80**, Na prowincyi **flor. 2.20.** Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; w **Krakowie** księgarnia **S. A Krzyżanowskiego.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60** lub walutą zagraniczną podług kursu.

Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** „**Nadesłane**" wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.

Adres Redakcyi i Administracyi: ***Warszawa. Chmielna 26.***

TELEFON 106.

Od Redakcyi.

Nowi prenumeratorowie życzący sobie przednoworocznych kompletów rozpoczętych w „Tygodniku" powieści nadsyłać raczą:

Na komplet „Alkhadara" kop. ***35.***
Na komplet „Wyzwolonej" kop. ***15.***

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Po przeczytaniu listu, Dalewiczowa chwyciła się za dołek piersiowy i krzyknęła strasznym głosem:

— Fajerkę! prędko fajerkę!..

Wszyscy wybiegli z pokoju — prócz Dalewicza.

Kasyer stał w miejscu nie poruszając się. Z wązkich jego ust, niby z ust automatu, wybiegały powolne i ledwie słyszeć się dające słowa:

— Raport do naczelnika... nie, do gubernatora... nie, do straży ziemskiej... List gończy do „Gubernialnych Wiadomości..." Skarga do władzy szkolnej, aby dzieci, to jest córki, to jest...

Urwał, zaplątawszy się, i obie ręce wyciągnął naprzód, ruchem ślepca, macającego drogę przed sobą.

— Kapelusz.. laska.. — mruknął niewyraźnie, jakby język miał zdrętwiały.

Nagle zachwiał się, i z okropnym łoskotem upadł na podłogę, uderzając głową o róg stołu.

II.

— A czy panna umiesz... tego panie... obchodzić się z teleskopem?

— Umiem, proszę pana.

— Bo to z panienkami... tego panie... różnie się zdarza. Przyjdzie czasem taka ciekawska, siedzi przed okularem przez pół godziny i gada: „Ach piękne!.. ach wspaniałe!.. ach... tego panie... cudowne!.." A potem w zaufaniu wyznaje, że nic nie widziała, prócz małego jasnego krążka.

— Robiłam już, proszę pana, samodzielne obserwacye.

— Obserwacye czego? Balonika pewnie, co się pannie wypsnął z palców i zaczepił na wysokiej... tego panie... topoli. Coś panna mogła obserwować?—i gdzie?

— W dostrzegalni mego nauczyciela astronomii.

— Phi!.. I cóż to za nauczyciel, co miał własną... tego panie... dostrzegalnię? O ile wiem, jeden tylko doktór Kobuz posiada u nas coś, co się może dostrzegalnią nazywać.

— Właśnie, proszę pana, jestem uczennicą pana Kobuza.

Stary, opryskliwy uczony, w szlafroku, pantoflach i nocnej bez daszka czapeczce, z siwymi, obwisłymi jak u chińczyka wąsami, cofnął się o kilka kroków w tył. Cofnął się, aby lepiej widzieć — był bowiem dalekowidzem.

Podobała mu się spokojna, poważna twarz panny, na którą pod ostrym kątem padało światło niedużej, „ślepej" latarki.

Poprawił czapeczki, jakby przez chwilę miał zamiar z głowy ją zdjąć, i rzekł:

— A!.. tego panie... nie wiedziałem... winszuję. Doktór Kobuz jest chlubą polskiej nauki. Kolegowaliśmy kiedyś ze sobą. Ale dziwak... tego panie... odludek, dzikus. Wiem, że dokonał i dokonywa ciągle ważnych odkryć, ale je dusi u siebie, jak stary skąpiec dukaty. Czasem tylko, jakby drażniąc się, coś niecoś światu pokaże, ale i to bezimiennie, albo pod jakiemś cudacznem przezwiskiem. Wielki mędrzec! wielki... tego panie... waryat.

Odsunął się dalej jeszcze.

— Kiedy tak, to proszę ustawić sobie teleskop i obserwować, co się podoba. Uczennica Kobuza nie może być zwyczajną... tego panie... ciekawską.

Nie nazywał już jej „panną." Forma nie osobista wyrażała u niego wyższy stopień szacunku. Jeszcze wyższy zaznaczył się w słowach:

— Zostańże tu sama. Ja schodzę na dół. Gdybyś mnie potrzebowała, naciśnij dzwonek elektryczny. Zresztą i bez tego przyjdę niedługo na nocną... tego panie... wartę.

Odszedł. Przez kilka chwil echa długich pustych korytarzów dostrzegalni powtarzały głuchy łoskot jego kroków — potem cały gmach zatonął w sennej ciszy.

Wanda nie bez pewnej obawy odważyła się na tę nocną naukową wyprawę. Ułatwił jej ją listem polecającym profesor Brzeski, u którego, po przyjeździe do Warszawy, zamieszkała.

Brzescy, którzy ją tu przyprowadzili, poszli w odwiedziny do znajomych, mieszkających w alejach; o dziesiątej wrócić mieli i zabrać ją z powrotem do domu.

Noce sierpniowe zwykle u nas bywają piękne, ta jednak odznaczała się pięknością nawet na Sierpień wyjątkową.

Lekka mgła opadła na dół; sfery wyższe odznaczały się zupełną kryształową czystością. Księżyc świecił wielką, białą twarzą; tu i owdzie migotały blado tajemnicze oczy gwiazd. Głęboka, uroczysta cisza z otchłani niebieskich spływała na ziemię.

Wanda obróciła teleskop na księżyc. Był on ulubionym przedmiotem jej badań. Pośród jego skał i dolin poruszała się myślą najswobodniej.

Ale przyjaciel ten lepiej był jej znany z wizerunków, niż z natury. Kilka razy tylko patrzyła nań przez lunety astronomiczne, były to jednak narzędzia słabe, i nie mogące iść w porównanie z teleskopem, przed którym teraz siedziała.

Z gorączkowym zapałem rzuciła się do szkieł.

Po kilku minutach, zaczepiona wzrokiem i myślą u południowej krawędzi naszego satelity, rozpoczęła pełną wrażeń wędrówkę. Odnawiała stosunek z dawnym znajomym, ale ten znajomy przedstawiał jej się teraz w nowem, odmiennem, doskonalszem świetle.

Posuwała się zwolna ku północy, najpierw okrążając pierścieniowe zręby kraterów, następnie zazierając odważnie w ich wnętrza.

Wszystko tu wydawało się jej ze srebra ulane — ze srebra naprzemian błyszczącego i mdławego. W pewnych odstępach srebro przegradzane było hebanem. Zwykle drzewo wykłada się metalem; tu stosunek był odwrotny: inkrustacye hebanowe leżały na tle ze szczerego srebra. Tworzył je cień, padający od wyniosłości — cień czarny, nieprzejrzysty, ostro odrzynający się od światła.

Wandzie wydawało się, że posiada skrzydła, dzięki którym dziesiątki i setki mil, może przelatywać w sekundzie.

Bezcielesną stopą ducha przebiegła wierzchołki gór, skupionych w wydłużone pasma, podobne do potwornych liszek czy padalców. Zabawiła dłużej na wyniosłym szczycie góry Newtona, przeskoczyła ztąd na „Maginusa," a zerwawszy się ponownie do lotu, dosięgła wspaniałego „Tychona," i siadła na jego grzebieniastej koronie.

Ztąd mogłaby była nie poruszać się godziny, dnie i lata całe. Tyle tu było do widzenia, do rozmyślań, do zadumy!

Potężna, o dziesięciomilowym promieniu, otchłań krateru zdawała się zejściem do piekieł. Od zachodu strzegł jej mur na dziesiątki tysięcy stóp wyniosły. Olbrzymie, wielopiętrowe tarasy otaczały ją dokoła. Z głębi, nakształt najeżonych włóczni, wychylał się łańcuch ostrych szczytów.

Górna część Tychona leżała w cieniu, ale poniżej biły zeń całe fontanny blasku. Blask wytryskał promieniami, składającymi się w olbrzymią gwiazdę.

Promienie sięgały daleko, obejmując drżącym uściskiem prawie czwartą część tarczy księżycowej.

Były one jak ostrza mieczów, okalające tarczę na ścianie zbrojowni; albo jak chmura strzał, padających w jeden punkt z uszykowanego w zamknięty okrąg zastępu; albo jak gloria świetlana, otaczająca złotym wieńcem Eucharystyę, albo jak błyszczące szprychy koła olbrzymiego, które szybkim ruchem pomnażało pozornie liczbę ich do nieskończoności...

Każdy z promieni drgał, płonął, mienił się innym odcieniem widma słonecznego. Nie można było wpatrywać się w nie długo bez olśnienia. Wyglądały jak wcielenie najpiękniejszej z niebiańskich wizyi Dantego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Życie wewnętrzne Włoch dzisiejszych

(Dokończenie).

Właściwie mówiąc, jednym jedynym z tak zwanych zawodów wolnych, który daje adeptom swoim byt niezależny, jest zawód inżynierów i architektów. Jest ich razem, wedle cyfr statystyki ostatniej, 11,000 blizko; z tego 7,000 zajmuje posady dobrze nagrodzone, rządowe, albo przemysłowe stałe, a blizko 4,000 ma zapewnioną praktykę wolną na warunkach korzystnych. Zresztą zawód ten popłaca, a student dyplomowany przez politechnikę Medyolańską, znajduje gotowe pomieszczenie zagranicą, i takich dosyć jest w Szwajcaryi, Niemczech, a nawet Ameryce. Jest to zatem stan uprzywilejowany wśród warstw intelligentnych.

Odwrotnie wprost ma się rzecz z literaturą i dziennikarstwem. Na 31 milionów ludności włoskiej, niema dwóch tuzinów pisarzy, którzyby dostatnio żyli z owocu swojej pracy. Margrabia Paulucci podaje krótki spis tych, o których wie świat cały — oto ich nazwiska: De Amicis, d'Annunzio, de Gubernatis, Barrili, Castelnuovo, Carducci, Capuana, Ferri, Ferrero, Fogazzaro, Lioy, Lombroso, Montegazza, de Roberto, Prege, Rovetta, Panzacchi, Serao, Stecchetti i Verga. Reszta prozaików i poetów eksperymentuje na osobach własnych trafność przysłowia miejscowego, które powiada, że z wyrazem *poeta* najlepiej rymuje *dyeta*. Książka poważna nie ma we Włoszech zbytu szerokiego, ztąd wydawca kurczy się lękliwie, a w większości wypadków uchyla od nakładu. Oto świeżo właśnie, opowiada Paulucci, August Conti, głośny nawet na półwyspie z prac swoich filozof chrześcijański, nie znajdując nabywcy na bardzo piękne dzieło swoje: „Rodzina— Ojczyzna — Bóg," darował rękopis, bo inaczej nie byłby on z pewnością ujrzał światła dziennego.

Romanse, nowelle, mają niby pewien pokup, ale wynagrodzenie stałe za tom nie przenosi paruset lirów, trudno zatem poświęcać na taki cel kilku miesięcy pracy. O wiele gorzej jeszcze stoi sprawa wydawnictw, w ścisłem znaczeniu słowa naukowych, a iżby dać miarę stopnia niepoczytności dzieła poważnego, powiada Paulucci, że firma wydawnicza Dumolard w Medyolanie, która pokusiła się o druk „Biblioteki naukowo-pozytywistycznej," zmuszoną była ogłosić upadłość.

Co się tyczy dziennikarstwa, nazywanego przez włoskiego autora tylną strażą literatury, to dzięki urokowi pewnemu, jakim otoczone jest stanowisko dziennikarza, wytworzyła się tutaj wprędce w ludziach i pismach niezwykła nadprodukcya. W roku 1891 było we Włoszech 2,000 pism peryodycznych, a licząc na każde z nich po czterech tylko współpracowników, będziemy mieć w przybliżeniu 8,000 ludzi oddających się temu zajęciu. Urok professyi jednakże swoją drogą, a korzyści materyalne doń przywiązane, swoją. Wprawdzie kierownicy 5ciu czy 6-ciu bardzo poczytnych dzienników zarabiają rocznie od 12 do 20 tysięcy lirów, ale reszta zadawalnia się płacą miesięczną jakichś 150 do 200 lirów, a reporter nie zyskuje więcej, jak 70 do 100 lirów. Znakomity pisarz dostaje tu za artykuł 60 do 80 lirów, ale publicysta przeciętny nie pobiera więcej jak 10 centymów za wiersz. W tych warunkach dziwić się nie należy, powiada Paulucci, że poziom moralny pracowników stoi na wysokości zysków, i że w dziennikarstwie tylu mają Włochy ludzi złej wiary, szantażystów i t. p.

Ujemnym w ogólnem rozumieniu stosunkom ekonomicznym, szczególnie dopomaga do wytworzenia proletaryatu intelligencyi, wadliwy szafunek ofiarności publicznej na cele edukacyjne. Stanowczo nie może liczyć na pomoc fundacyj stypendyalnych człowiek młody, poświęcający się agronomii, przemysłowi, nauce, podczas gdy wszystkie ostatniej doby zapisy przysługują kandydatom zawodu literackiego i artystycznego. Szczególną drogą rozumowania poszedł tutaj, przyznać należy, ogół włoskiego społeczeństwa. Upowszechniło się mniemanie, że instynktom brutalnym, rozpanoszonym popędom kryminalnym, stanąć może zaporą podniesienie poziomu intellektualnego ludu. Wszyscy chcieli szukać ocalenia w oświacie. No, i stało się w istocie tak, że szkoła wpłynęła na zmniejszenie przestępstw i zbrodni gwałtownych i brutalnych, ale jednocześnie w wysokim stopniu rozmnożyła i upowszechniła zbrodnię obmyśloną — wyrafinowaną. Na ogół armia przestępców wzrosła bardzo od roku 1862. Było ich w tej epoce 15,000 niespełna; rok 1894 podaje ich 28,336 — blizko dwa razy tyle.

Ale kryminalista włoski przestawszy być człowiekiem impulsu, przybiera natomiast maskę hipokryzyi i zdrady. Wszystkie statystyki dają pod tym względem wyniki identyczne. I tak, jeśli w roku 1880 morderstwa proste stanowiły 5,418, a w 1895 tylko 3,891 — jeśli wyłudzenia pieniędzy, szantaże i kradzieże proste w tych samych okresach czasu zeszły z 3,947 na 2,873, za to liczba bankructw podstępnych wzrosła z 1,028 do 3,659 - kradzieże grosza publicznego, gründerstwa i przekupstwo podniosły się z 1,490 do 2,119, a fałszerstwa z 12,886 na 15,605. Złoczyńca tedy coraz powszechniej zastępuje mordercę.

Niemniej zatrważające rubryki stanowi zbrodniczość nieletnich. Liczba tych ostatnich, skazanych przez wyroki sądowe, dosięga w roku 1889 potwornej cyfry 66,900, z których 5,500 liczyło mniej niż 14 lat wieku, a i kobieta wraz z jej wtargnięciem w życie intellektualne i publiczne, obniża swoją moralność także w postępie nadzwyczaj rażącym.

Cały ten zwrot dokonał się we Włoszech dzięki wytworzeniu się proletaryatu intelligen-

cyi. Zobaczmy jaką drogą szła owa ewolucya historyczna.

Włochy, to państwo zmartwychwstałe cudem. Była tam wytrwałość i ofiarność wielka, były wysiłki bohaterskie fanatyków idei zjednoczenia, ale w sumie biorąc, rezultat okazał się wyższym nad oczekiwania przewidujących. Zjednoczenie Włoch wobec tych przeciwności, jakie były do zwalczenia, wygląda w istocie na cud. Legendę podboju Neapolu, można nazwać bajeczną; porażki na polach bitew dawały temu narodowi szczęśliwemu korzyści większe, niż dać mogły innemu zwycięztwa — wszystko, co było przeciw niemu, okazywało się zbawczem i pomyślnem w skutkach.

Tak powstało w istocie dzisiejsze państwo włoskie. Co się tu dziwić, że ośmieleni powodzeniem chcieli dalej stawiać kroki olbrzymie, że pragnęli wetować wieki rozbicia swego, i naprawiać to, co zepsuły wieki. Zmartwychwstająca Italia na 21 milionów ówczesnego zaludnienia swego, liczyła 17 milionów analfabetów. A więc światła, światła! rozlegało się na wszystkie strony, a wyrażenie Dantona, że ludowi w tym samym stopniu potrzebne światło, jak chleb, powtarzanem było we Włoszech jako dogmat godny przyjęcia bez zastrzeżeń, ograniczeń, bez rachowania się nadewszystko z czasem i względami ekonomicznymi.

Już w roku 1864 spostrzegacz tak bystry, jakim był Taine, odbywając podróż po Włoszech, zrobił uwagę, że zbyt wiele ludzi garnie się tutaj do polityki i do nauki. Patrzył i widział tylko rozpolitykowanych i tylko oblegających podwoje uniwersytetów, a nie spotykał pracowników na polu dobrobytu materyalnego. Sam uniwersytet w Neapolu liczył podówczas 10,000 słuchaczów.

Równowaga została tedy nagle i bardzo stanowczo naruszoną. Narodowi temu zanosiło się odrazu na wielką dysproporcyę między sferą produkcyi umysłowej, a wytwórczości przemysłowej i rolnej, nie mówiąc o tem, że ta wytwórczość umysłowa, okazać się musiała koniecznie tylko ilościową. Rok 1871, jako epoka zwycięztwa Prus nad Francyą, podsycił jeszcze gorliwych na tej drodze, wszystkim bowiem wydawało się, że to nie są tryumfy doskonalszej organizacyi wojennej, nad mniej doskonałą, ale tryumf, jak się wyrażono, elementarza nad ciemnotą. A więc nauka, nauka! zarówno niższa, jak wyższa, dla ubogich, jak dla możnych — dla wszystkich bez wyjątku! Dodajmy do tego, że Włoch wogóle szwankuje na punkcie zmysłu praktycznego, że jest, fizycznie biorąc, leniwy z natury i rozleniwionym przez warunki gleby, klimatu i obyczaje wiekowe, dodajmy do tego emancypacyę pojęć w kierunku równouprawnienia na wszelkiem polu, i rozbudzoną ambicyę wyjścia ze sfery pracy fizycznej, a zaliczenia się między warstwy oświecone—a więc rządzące, a zrozumimy niebawem, dlaczego praca grubsza poszła w pogardę, dlaczego wyjść ze swego stanu starał się każdy — dlaczego jednem słowem pustoszały warsztaty, szły w odłogi pola i zarastały winnice, a przepełniały się gmachy uniwersyteckie i szkolne. Po 6 do 7 lat cygańskiego życia wśród młodzieży wesołej, otrzymać dyplom otwierający, jak mniema powszechność, podwoje użycia na rozcież — oto do czego wzdycha 90 na 100 młodzieży tego narodu.

Dziś należy jeszcze przyjąć w rachunek kobietę wraz z jej aspiracyami, dziś trzeba tym wielkim zastępom kandydatek do nauki i służby publicznej, obciążyć cały niezmierny kontyngens ubiegających się bezskutecznie o chleb—pomnożyć ten liczny i bez nich obóz malkontentów, zawiedzionych i rozpaczających. A są nimi przeważnie ludzie sfer oświeconych, bo i tu wypowiada statystyka swoje decydujące ostrzeżenia, dzięki którym wiadomo już powszechnie, że wielką armię włoskiego socyalizmu składają dzisiaj nie robotnicy przeważnie, ale owszem studenci, profesorowie, urzędnicy, lekarze, artyści, pisarze, wszyscy borykający się z nędzą przy połowicznym bycie, albo co gorsza wyglądający nadaremnie przy dyplomie swoim z roku na rok spodziewanego stanowiska.

Nie poszli Włosi w rozwoju swoim, ani za wskazaniami ludzi nauki, ani za natchnieniem godnych wiecznej pamięci twórców swojej niepodległości, którzy proroczym, można powiedzieć, duchem, dawali im zbawcze rady i ostrzeżenia. Do pierwszych należał wielki myśliciel Sismondi, który takie drogi nakreślał przed narodem włoskim w czasach, kiedy jego zjednoczenie się i niepodległość zaliczone być mogły zaledwie do snów, w odległej kiedyś, ziszczalnych przyszłości. Oto słowa jego:

„Oby ten naród poszedł koleją normalną, oby mu pozwolono przejść spokojnie te etapy i fazy rozwoju, które przechodziły w cywilizacyjnym pochodzie swoim inne narody. Gdyby tak być miało, przekonałby się świat, że w ludzie tym nie zaginęły nasiona wielkich czynów, że godnym jest on pokusić się jeszcze o zagadnienia, które po dwakroć spełniał w dziejach ku sławie swojej."

Drugim z wymienionych przez nas, którego słowa poszły w niepamięć u jego rodaków, był człowiek prostego sądu, a wielkiej cnoty publicznej, ten niestrudzony pracownik włoskiego zjednoczenia—zapomniany prawie w ostatnich latach życia, samotnik na odludnej Caprerze. Po dokonaniu wielkich dzieł swoich, mówił on:

„Niechajby na tej ziemi dzieci były w przyszłości, ile można, kontynuatorami rodzicielskich zawodów i powołań, bo tym tylko sposobem summa doświadczenia i udoskonaleń wypracowanych przez jedno pokolenie nie idzie w zatratę dla następnych."

Na przekór tym wskazaniom poszło wszystko.

Dzisiaj to zbiegostwo od zajęć prostych jest powszechnem niemal prawem, dziś porzuca rolę syn rolnika, warsztat ojcowski rzadko dostaje się synowi, a następstwem nieuniknionem jest, że z pomiędzy dziesiątków tysięcy, dobiegają celu setki zaledwie, pozostawiając resztę na ofiarę zaślepieniu chwili.

Tak, jak rzeczy stoją tutaj dzisiaj, można powiedzieć, że pracować da się już tylko dla przyszłości, bo człowiek dojrzały, zarówno ten, który osiągnął cel, jak ten, który został zawiedzionym, z drogi swojej zwrócić się nie dadzą. Przyjdzie tedy Włochom starać się o odwracanie złego od pokoleń wstępujących w życie, a te, które nieopatrznie dały się uwieść fałszywemu kierunkowi, uważać należy za ofiary skazane nieodwołalnie. Niewątpliwie ruch cały wyszedł ze źródła nader czystego i bezinteresownego; inicyatorami jego byli ludzie szlachetni i gorącego serca, ale niestety, najczyściejsi i najszlachetniejsi nie są przez to samo jeszcze najlepszymi doradcami swojej społeczności. Jakoż człowiek, dający się tak dalece owładnąć doktrynie, iż mu ona zasłania oczy na prawdy najkonkretniejsze, w rzędzie wytykających kierunki, liczyć się nie ma prawa.

Nie módz pojąć tego, że społeczność w danem stadyum swego rozwoju może dać byt tylko pewnej określonej liczbie lekarzy, profesorów, inżynierów, sędziów, adwokatów, i mimo to upierać się wbrew oczywistości przy swojem, jest to lecieć w otwartą przepaść i popychać do niej tysiące, niby z intencyą zawsze stałą i niezmienną zgotowania im szczęścia. Illuzye zawsze płaciły się drogo i nigdy tanio przyjść nie mogą, zarówno jednostkom, jak narodom. Niechaj bierze z Włochów przykład każdy naród, który na tę samą, co oni wstępuje drogę.

W rozpaczliwą też, przyznać wypada, chwilę, przyszło we Włoszech kobiecie stanąć do tego turnieju uzdolnień. Natrafia ona tutaj na konkurencyę zaciętą, i osobą swoją podnosi ją do rozmiarów zamętu.

A. S.

Sprawozdania literackie.

K. Tetmajer: Qui amant.—Dębicki Zdzisław: Ekstaza.

Ostatni zeszyt „Ateneum" pomieścił poemacik Tetmajera p. t. „Qui Amant." Dziś już każdy utwór nowy poetów takich jak Tetmajer, Lange, Kasprowicz, witany bywa z zaciekawieniem i zajęciem, jeśli nie przez cały intelligentny ogół, to przynajmniej przez coraz liczniejsze grono szczerych miłośników poezyi. Z tymi ostatnimi podzielić się pragnę wrażeniem przeczytanego poematu.

„Qui amant" — motyw, jak świat stary! Któryż poeta której epoki dziejowej nie pisał o miłości? A jednak Tetmajer wniósł tu tyle świeżego, a raczej nowego pierwiastku, wniósł płomień własnej potężnej duszy, i chorobę epoki, która miłość odczuwa tylko jako ból, jako tak natężone pragnienie, tak wielką tęsknotę za czemś nieujętem, zaświatowem, że przechodzi ona w mękę śmiertelną i w śmierci pożądanie. U wielu autorów współczesnych zauważyć można, że im bardziej pozbawioną ziemskich pierwiastków, im idealniejszą jest ich miłość, tem bliżej niej stoi widmo śmierci, choć czasem nagle, niespodziewanie wychyla ono swoją trupią twarz i z pośród płomiennych kwiatów namiętności zmysłowej.

„Qui amant" zaczyna się niby sielanka; początek przypomina „W Szwajcaryi" Słowackiego. Poeta widzi swoją panienkę „z Ladawy" w kościołku wiejskim, z głową pochyloną, w dłoniach ukrytą, i serce bije mu do niej, i chciałby widzieć w niej zawsze czystość madonny i świętość madonny. Ale ten

nastrój znika niezadługo; budzi się duch na łonie przyrody wykołysany, rozkochany w jej ciszach, światłach, potężny czcią dla niej, po tężny tem tchnieniem, które z łona jej przeszło w jego pierś poety. On jej spowiada się z uczuć, które w sercu jego powstały.

Ciszo, Przestrzeni, Światło! o wy święte
Miłości duszy mej, nieogarnięte
Nieokrążone żadną zmysłów siłą
Najwyższe. czyste.....
. . . .
Oto mi serce znów w piersi zabiło,
Jak ku wam bije, kiedy w górskie głusze,
Wtopiony cały duchem, z piersią wzdętą,
Niewysłowionych uczuć płomieniami,
Wchłaniam was w siebie, żyję w was i z wami!
...Ile zdolna
Ma dusza kochać cię, przestrzeni wolna,
I ciebie, światło! i ciebie o ciszy!
Ile tęsknoty wybucha z jej wnętrza
Ku wam, gdy w więzach i okowach dyszy,
W jarmarcznym gwarze i w toni ciemnoty,
Tyle miłości i tyle tęsknoty
Teraz się w potok w niej szalony spiętrza.

I potok ten rwie w bezgranicza, w zaświaty, zdala, zdala od ziemi.

Ach, gdyby rzucić te cielesne pęta!
Ojczyzna nasza, patrz, nieogarnięta!
Ojczyzna nasza, patrz, te wichry kwiatów!
Te kłęby tonów, te światła orkany!
Ojczyzna nasza ocean wezbrany,
Wszystkim płomieniem, wszystkim pięknem
[światów.

I egoizmem wybucha niepohamowanym:

Pójdź! Niech się wali na druzgi strzaskany
Krąg ziemi! Niech się w proch rozpada cała,
Pójdź, ramionami owinę cię biała...

Po tym wybuchu duch poety jakby znużony daremnem rwaniem się w kraj ideału, stygnie. Na rozpalone czoło pada mu chłodny powiew śmierci, i wizye blade jawią się jego oczom.

Jak słodko usnąć... po kwietnej dąbrowie
Pomiędzy krzewy zawisłe, omdlałe,
Spokojnej śmierci idą aniołowie...

Ale myśl o ukochanej jest i w tej chwili dominującą w duchu jego nutą.

Bez żalu i lęku
Oddałbym ducha mego w ręce twoje.

Sceptycyzm, bezgraniczny sceptycyzm nie pozwoli poecie zakosztować rozkoszy śmierci. On marzy, że ojczyzna dusz, to „ocean wezbrany wszystkiem płomieniem, wszystkiem pięknem światów," ale marzenie—to nie wiara, nie przekonanie. Tajemnicy śmierci nie rozwiązuje marzenie.

Szczęśliwi, którzy wierzą, że po skonie
Duchami pójdą w elizejskie błonie
I tam spotkają tych, których kochali.
Gdybym tak wierzył, chciałbym choć z oddali
Patrzeć na ciebie, i pod twoje stopy
Za pieśnią rzucać pieśń, jak kwiatów snopy.

Nie spieszy więc zrzucić pęt cielesnych, bo poza niemi nie będzie dlań może nawet ukochanej. Pozostaje mu zatem smutek, na który niema wyrazu, smutek którego głębie zaledwo przeczuć się dają w ostatnich słowach poematu:

Gdybym tak wierzył... serce mi się zrywa.
Odwróć odemnie twarz, i bądź szczęśliwa.

Takim jest ten współczesny poemat miłości, najsmutniejszy chyba ze wszystkich, które motyw ten zrodził dotąd.

W powodzi książeczek, zawierających t. zw. poezye, wydawanych kosztownie i elegancko, a nie mających często żadnej wartości wewnętrznej, niełatwo jest wyłowić jakąś złotą rybkę, jakiś zbiór wierszy, zapowiadających nowy talent, nową a oryginalną duszę twórczą. Z tem większą też radością wita się zdobycz podobną.

Miłą taką niespodzianką był dla mnie zbiór poezyi Zdzisława Dębickiego p. t. „Ekstaza." Tytuł może trochę za górny. Ekstazy nie było zdaje się przy tworzeniu tych rzeczy; jest za to w wielu miejscach dużo szczerej melancholii i zapału dla piękna. Na pierwszych stronach czuć się daje odrazu wpływ Tetmajera i Kasprowicza, duchów stojących częstokroć na przeciwległych artystycznie biegunach, ale najsilniej ze wszystkich oddziałujących na najmłodsze pokolenie artystów. Jakby na potwierdzenie przypuszczeń, że ci dwaj byli dla młodego autora mistrzami ducha i formy, znajdujemy na końcu tomu strofy pisane na ich cześć, pełne zapału i uwielbienia.

Poezye erotyczne, któremi Dębicki rozpoczyna swój tom, najmniej mają wdzięku, najmniej artystycznej wartości, choć odzywają się w nich często bardzo szczere nuty. Za to w cyklach: „Nad morzem," „Wizye," „Rozdźwięki" i t. d. spotykamy wiele bardzo ładnych strof. Oto niektóre:

Lubię zgrzywione fale pruć
Na wątłej siedząc łodzi,
Lubię, gdy pląsa moja łódź
I wiatr mi czoło chłodzi,
I czuć idącą zdala burzę
Na piorunowej chmurze...
Lubię obłędny ptaków lot,
Posępne morza lice... i t. d.

Jednym z najładniejszych i może najoryginalniejszych w tym zbiorze, bo Tetmajerowskiemi truciznami nie zaprawionym, jest wiersz „Z daleka," ofiarowany przyjaciołom i towarzyszom. Zaczyna poeta od wspomnień. Młode grono, jako klucz żórawi, z tęsknotą szaloną leciało kiedyś za złotą gwiazdą przyszłości. Ale

przyszły huragany,
Które rozbiły nasz klucz żórawiany.
. . . .
I polecieliśmy na świata krańce,
Smutne żórawie, żórawie wygnańce...
I oto nasza przygasła już gwiazda,
A jest w nas tylko tęsknota do gniazda...

Następująca strofa śliczna w prostocie swojej i uczuciu:

A jest w nas tylko tęsknota za polem,
Co się na wiosnę różowi kąkolem,
A jest w nas tylko tęsknota do chaty,
Której pilnuje nasz dąb rosochaty.

Zdaje mi się, że pessymizm i sceptycyzm swój Dębicki zapożyczył u Tetmajera, że nie są one rodzonemi dziećmi jego duszy, i że dobrze zrobi, gdy otrząśnie się z pod wpływu swego uwielbianego poety, i spróbuje samodzielniejszym w królestwie twórczości być pracownikiem.

H. C.

Jan Szczepanik.

Bardzo trudno bywa niekiedy zoryentować się czytelnikowi naszemu wpcśród sprzecznych a często bałamutnych informacyj, jakich mu dostarcza dziennikarstwo. Wiadomości niepewne, niezdecydowane, zaprzeczenia, niekiedy tendencyjne wyprowadzanie opinii na manowce — z tem wszystkiem spotykać się musi chciwy nowości umysł wytrwałego czytelnika gazet, tak, że nieraz nie wie zupełnie ogół, co ma trzymać o fakcie po kilkakroć w różnych dziennikach przedstawianym w oświetleniu wprost przeciwnem — nie wie, co jest faktem autentycznym, a co mistyfikacyą mimowiedną albo świadomą.

Tak się do pewnego stopnia działo z wiadomościami nadchodzącemi do nas o wynalazkach skromnego niegdyś nauczyciela w Galicyi, Jana Szczepanika. Przedewszystkiem dowiedzieliśmy się o nich nadzwyczaj późno, bo w dwa lata blizko potem, jak dokonał ten człowiek w tkactwie przewrotu tak doniosłego, że o nim dowiedziano się niebawem nietylko w obrębie Galicyi i monarchii Austryackiej, ale daleko bardzo poza jej granicami. Dzięki tej opieszałości naszej zapewne i nieufności we własną naszą pomysłowość i twórczość, którą się dobrowolnie zarażamy od siebie, ma dzisiaj na swoje usługi polski wynalazca obce kapitały, a wspólnikami obcych ludzi, podczas gdy my zamiast na pierwszy posłuch, rzecz sprawdzić na miejscu przez fachowców uzdolnionych, woleliśmy po dziennikach krytykować rzeczy niewidziane, i podawać w wątpliwość łatwowierność specyalnych pism niemieckich, które naszemu człowiekowi przyznawały nazwę polskiego Edissona. Nietylko żeśmy w rodaku naszym nie powitali pierwsi genialnego wynalazcy, nietylko żeśmy w niedołęztwie i ospałości naszej nie pośpieszyli, aby mu pozwolić się oprzeć materyalnie na sile krajowej, ale wydawało się tak w istocie, jak gdyby nam powodzenie jego w czemś było nie po myśli, czy nie po sercu.

A tymczasem wynalazki jego są wielkiej wszechświatowej doniosłości, i daremnem byłoby bagatelizować je w dalszym ciągu, albo milczeć o nich, bo oto świeża wiadomość dochodzi, że w dniu 10 Stycznia, jako w terminie specyalnie na ten cel oznaczonym, miało miejsce w Wiedeńskiem muzeum sztuki i przemysłu, posłuchanie naznaczone Szczepanikowi przez Cesarza Franciszka Józefa. Monarcha Austryacki poprzedzony przez radcę dworskiego Scalę dyrektora muzeum, powitał rodaka

naszego temi słowy: „A więc to pan jesteś tym wielkim wynalazcą, o którym tyle słyszałem.“

Widać, że Szczepanik, jak wszyscy zresztą ludzie czynu, oratorem nie jest, bo od firmy „Szczepanik i Co.” przemawiał wspólnik p. Kleinberg, który tłómaczył Cesarzowi tajemnicę wynalazku Szczepanika w zakresie tkactwa wzorzystego, i prosił o przyjęcie bardzo pięknego gobelinu, wykonanego wedle kartonu malarza Henryka Rauchingera. Monarcha po przyjęciu daru zażądał objaśnień szczegółowych, dotyczących istoty wynalazku, a następnie zapytywał o inne wynalazki Szczepanika, o których słyszał i czytał dotąd bardzo wiele. Czyniąc zadość życzeniu panującego, okazał p. Kleinberg oryginały kilkunastu patentów, których treść i znaczenie tłómaczył przystępnie.

Bardzo zadowolony Franciszek Józef oświadczył, iż go zajęła niezmiernie wizyta w muzeum, a zwracając się do Szczepanika dodał: „Winszuję szczerze wynalazku i będę rad wkrótce znowu usłyszeć o panu.”

A więc mamy faktycznego wielkiego wynalazcę w osobie Jana Szczepanika, a ze względu na jego wiek młody i energię, wynalazcę o niedającej się obliczyć przyszłości. Myśląc o materyalnej stronie jego pomysłów już weszłych w życie, mimowoli nam żyjącym w takiem środowisku przemysłu tkackiego, jakiem jest nasz kraj, przyjść musi koniecznie na myśl, jakie też to ptasie i rutyniczne muszą być u nas mózgi ludzi, których zadaniem nic innego nie jest przecież, tylko ten jeden wyłącznie pieniądz. Pragną, pożądają, po głowach ludzkich szliby do posiadania, a śmiałości, odwagi i węchu profesyjnego brak im widać zupełnie.

X.

Cuda seroterapii.

Takim tytułem opatrzył w jednym z przeglądów francuzkich dr. L. Caze swoje popularne sprawozdanie z coraz nowych zastosowań, jakie czyni ciągle metoda wprowadzania do organizmu ludzkiego surowicy krwi zwierzęcej, przygotowywanej w celach specyalnych. Po wynalazku surowicy przeciwbłonicowej, stosowanej już dzisiaj w całym świecie cywilizowanym z wielkiem powodzeniem, Doktorzy Richet i Hericourt w Paryżu przedstawili w roku 1891 Akademii psy szczepione, których surowica aplikowaną być miała przeciw suchotom płucnym człowieka. Ogłoszona przez tych uczonych metoda postępowania, popartą została doświadczeniem na chorym, dotkniętym cierpieniem gruźlicy w drugim stadyum rozwoju, który dzięki użytemu środkowi, wyleczonym został radykalnie.

Te dwa potężne, rzec można epokowe odkrycia, wskazały uczonym drogę do analogicznego traktowania innych cierpień, wobec których nauka lekarska czuła się dotąd bezradną zupełnie. Za takie uważanym był aż do ostatnich czasów tężec (tetanos), stanowiący jedno z najgroźniejszych, a nadewszystko jedno z zupełnie nieprzewidzianych powikłań w cierpieniach chirurgicznych. Nieszczęśliwy ten przypadek udaremniał dotąd wszystkie starania lekarzy. Chory skaleczony mniej lub więcej ciężko, opatrzony jest, dajmy na to, bez straty czasu i w sposób najodpowiedniejszy. Rana traktowana wedle wskazań nauki, goi się pomyślnie; wszystko zdaje się wróżyć wyzdrowienie rychłe i niechybne, aż tu ni ztąd, ni zowąd przychodzi ten wróg straszny, szczęki chorego ścinają się, za tem idzie zesztywnienie muskułów stopniowe, i oto chory staje wbrew oczekiwaniom doktora, na progu śmierci, a ten próg ostatecznie przekraczał on dotąd wedle statystyk wszystkich szpitali w 80 wypadkach na 100. Śmiertelność zatem szerzona przez tężec między chorymi operowanymi, liczyła się do najgroźniejszych.

Pierwszy prawdziwy tryumf odkrycia święcono w Ameryce, ale autorem jego był Francuz dr. Rambaud, członek instytutu Pasteura w Paryżu. Pierwszym uzdrowionym dzięki zastosowaniu surowicy, był niejaki Aaron Hamion w New-Yorku. Operacya wogóle należy do trudnych, bo idzie o oddziałanie bezpośrednie na nerwy mózgu; niemniej i ta, i następne w różnych szpitalach dokonywane zakończyły się uzdrowieniem, a rezultaty były nawet tak zadawalniające, że podczas kampanii prowadzonej w Dahomeju, przyjęto tę metodę stale po ambulansach i szpitalach polowych. Zresztą środek sam przechowuje się łatwo. W stanie płynnym nie ulega zepsuciu, byle był umieszczony w naczyniach sterylizowanych z nieznacznym dodatkiem roztworu kamfory. Można też preparat odparować w próżni i zamienić go na proszek, który następnie rozpuszczony w razie potrzeby w wodzie, nie ustępuje co do własności leczniczych świeżemu serum przeciwtężcowemu.

Jeśli to ostatnie odkrycie przedstawić się musi człowiekowi nauki, zarówno jak profanowi, jako zdobycz naszej wiedzy współczesnej prawdziwa, to, o którem mówić mamy wkracza w istocie w granice cudowności. To też tylko poważane nazwisko francuzkiego lekarza sprawozdawcy pozwala nam podzielić się z czytelnikami nowością, która niewątpliwie zakomunikowana przez laika jakiegoś, oddziałaćby musiała na podobieństwo węża morskiego, bezpośredniej korespondencyi z Marsa, albo wogóle jednego z tych wymysłów, przy pomocy których mistyfikatorowie zastawiają sidła na łatwowierność ludzką. Idzie tu bowiem ani mniej, ani więcej, tylko o serum przeciw pijaństwu. Wynalazcą tej przeciw-pijaczej surowicy, ma być według dr. L. Caze, Nowoyorski lekarz dr. Evelyn. Środek nazwany został przez wynalazcę „Equisiną,” a wyraz ten wywiedziony od łacińskiego *equus* (koń) daje sam przez się do zrozumienia, że użyto tu za podstawę surowicy otrzymanej z krwi końskiej.

Oto wywód dr. Evelyn, który tu podajemy w wiernem tłómaczeniu:

„Krew składa się, jak wiadomo, z surowicy i ciałek czerwonych. Wody zawiera surowica w składzie swoim 90 części na 100, podczas gdy ciałka czerwone mają jej na 100 68 procentów. „Liczne doświadczenia przekonały mię, mówi amerykański lekarz, że można zatruć przy pomocy alkoholu, wszelką formę wziętą ze świata zwierzęcego czy roślinnego. Intoxykacyi alkoholem może podledz tak samo człowiek jak rzepa. Co do mnie, robiłem próby na koniach, królikach, kanarkach, pijawkach, na organizmach najniższego rzędu, zarówno jak roślinach takich, jak kartofel, rzepa, cebula, rzodkiew, zboża różnego gatunku i trawy. We wszystkich tych formach znajdował się jeden wspólny pierwiastek: woda, a ja jestem tego mniemania, że ta woda, to życie organizmów zwierzęcych i roślinnych. Alkohol denaturyzuje wodę. Rzepa posiadająca w swoim składzie 98 na 100 procentów wody, więdnie gdy ją pogrążymy w alkoholu do trzech czwartych objętości. Tak samo i człowiek alkoholik. On żyje, może nawet tyć, ale niemniej krew jego ulega odwodnieniu, i tutaj właśnie okazywał się zbawczym wpływ Equisiny, która oddziaływa na krew, neutralizując skutki zrządzone przez alkohol.

„Jeżeli staniemy na gruncie tego pewnika, że alkoholizm może być dziedzicznym, a doświadczenie przekonało, że może być takim, to i na tę również skłonność odziedziczoną equisina działa osłabiająco. Zresztą doświadczenie stwierdza metodę moją. Jeśli tedy organizujemy dzisiaj stowarzyszenia opieki nad dziećmi, należy dziecku w najmłodszym wieku zaszczepić środek, który go na przyszłość zabezpieczy przeciw zwyrodnieniu.”

Taką jest metoda dr. Evelyna. Opowiada on o wielkiej liczbie uzdrowień, dokonanych na alkoholikach, a tych, jak wiadomo, posiada Ameryka wolna ilość bardzo pokaźną, pomimo nader licznych stowarzyszeń przeciwalkoholicznych i filij europejskiej armii zbawienia. Wśród wielu wydarzeń nader szczególnych w jego lekarskiej praktyce, wzmiankuje on o jednem, w którem ocalił dziecko kilkoletnie nałogowej pijaczki. Biedactwo to żebrało na ulicach, i nie mogąc nawet wymówić jeszcze jak należy słowa „whisky,” za wyłudzone pieniądze kupowało sobie tę truciznę, z czego matka była zadowoloną, a nawet dumną. Zająwszy się dzieckiem, dokonał na niem czterech szczepień w ciągu dwóch miesięcy, na skutek których dziecko bez innego rodzaju oddziaływania, straciło nieodwołalnie pociąg do wódki.

O sposobie przygotowywania surowicy przeciwalkoholicznej, taką wiadomość ze źródeł amerykańskich podaje dr. L. Caze:

W Almada ma dr. Evelyn 6 koni, które wybrał między najpiękniejszymi i najczyściejszej krwi zwierzętami tego gatunku. Przez 3 miesiące dostają te konie od 2 do 4 kwart wódki dziennie. Pod koniec tego okresu czasu badaną bywa ich krew, i jeśli stan tej ostatniej uznanym zostaje jako odpowiadający potrzebie, to jest jeśli ciałka czerwone okażą się pod mikroskopem należycie zgęszczone i zcukrzałe, upuszcza się zwierzęciu półtory kwarty takiej krwi, którą się przechowuje w butelkach sterylizowanych. Dalsze postępowanie z różnicami stosowanemi wedle indywidualności pacyentów, wykracza już poza ramy naszego sprawozdania, jest ono wszakże szczepieniem w każdym razie, i zarówno środkami jak celem zbliżą się do niego. Tym celem zawsze jedno i to samo:

uodpornienie czyli immunizacya jednostki dotkniętej nałogiem przeciw samemu nałogowi.

Czy wkażdym zarówno wypadku pijaństwa okazuje się ta equisina zarówno skuteczną, a raczej wszechmocną, milczy sprawozdawca. Mimowoli nasuwają się tu jednakże wątpliwości nawet na ten wypadek, gdyby sam fakt oddziaływania środka był autentycznym i niechybnym, Jest przecie pijaństwo i pijaństwo. Są nałogowcy, których ciągnie sam trunek i z tymi zapewne, o ile chodzi o obudzenie przeciw ich fizycznemu popędowi wstrętu także czysto fizycznej natury, mogłoby się okazać zupełnie wystarczającem. Co zrobi jednak dr. Evelyn, ze wszystkimi tymi którzy w pijaństwie szukają utraty pamięci, utopienia rozpaczy, zagłuszenia wyrzutów sumienia? Wydaje się, że to zadanie będzie o wiele bardziej skomplikowanem, i niewiadomo czy prosty wstręt do napoju przemoże tamtę potrzebę. A zresztą alboż to morfiniści nie są równie nieszczęśliwi jak alkoholicy, a tak łatwo u nas o narkotyk. W każdym razie czas przyniesie i do nas metodę, jeśli ona tam okaże się tak zbawienną, jak opowiadają o niej.

K.

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

I.
INULTUS

Legenda pragska.

(Dalszy ciąg).

— Nie wierzyć w Chrystusa? — rzekł i łzy napełniły mu oczy.

Zdawało mu się, że Zbawiciel miał przez bluźniercze to słowo o jedną ranę więcej, a zarazem czuł wielkie współczucie dla tej pięknej, kamiennie zimnej kobiety, dla tej ciemnej, niewierzącej siły, nieżyjącej duszy.

Oczy jej zabłysły, gdy ujrzała go tak wzruszonego.

— O! jakżeście teraz, panie, do Chrystusa podobni—do takiego jak legenda nam o nim opowiada, i jak sztuka postać jego oddaje! — zawołała prawie z zachwytem.—Wiedzcie tedy, że szukam dawno a napróżno wzoru pomiędzy żyjącymi, wzoru dla tego, który duszy mej zjawić się nie może. Gdy na moście was ujrzałam, wykrzyknęłam zdumiona, bo w twarzy waszej znalazłam prawzór swego Chrystusa! A teraz widzę znowu, jak szczęśliwie wybrałam! Inulcie, podług was go utworzę! Będziecie wzorem mego umierającego Króla żydowskiego?

— Nigdy! — zawołał Inultus w pokorze. — Nie jestem godzien! O jak możecie czegoś podobnego żądać, madonno?

Uśmiechnęła się.

— Jesteście dzieckiem, przyjacielu—rzekła.

Po chwili ujęła go za rękę, powiodła ku wielkiemu otwartemu oknu, wskazała mu krzesło, a sama siadła na kobiercu, rozpostartym na szerokiej podmurówce okna i spływającym z niej na obie strony, do pokoju i na zewnątrz domu.

Noc była cicha i pełna gwiazd. Ponad dachami Małej Strony otwierał się widok na miasto i poza niem na daleką krainę, kędy ciemne zarysy wzgórz ku niebu się wznosiły, a Wełtawa między nimi połyskiwała. Szum rzeki napełniał pracownię smutnym rytmem swoim. Było to coś, jakby wielki, tragiczny płacz miasta Pragi, leżącej u stóp chmurnego grodu, jak spętana królewna w niewoli.

Inultus uczuł znowu w chwili, gdy na miasto przez okno wyjrzał, cały niemy, wielki ból nieszczęsnej tej ziemi, której imię z ksiegi żyjących wykreślone było, której gwiazda zapadła we mgły śmierci i niepamięci. Ciężkie westchnienie podniosło mu piersi i zakrył twarz rękami.

— Przyjacielu — rzekła Flavia — wiem, co się w was dzieje. Acz cudzoziemka, rozumiem was. Wiedzcie, że możecie temu krajowi, nad którym w niemym żalu płaczecie, temu ludowi, z którego pochodzicie, wielką oddać usługę, jeśli zgodzicie się na me żądanie.

Inultus wzruszony, otworzył oczy pytająco.

— Tak jest — ciągnęła dalej Flavia — tak jest, jak wam mówię; wyjaśnię wam to, panie, zaraz. Jeden z tych najmożniejszych, w ręku których spoczywa los tej ziemi — nazwijmy go choćby donem Baltazarem, bo jest Hiszpanem — odwiedza mój dom. Rodzina moja miała zdawna względem jego rodu obowiązki, i gwoli jemu ojciec mój przybył do Czech. Don Baltazar odwiedza tedy mój dom. Jest to dla mnie wielkim zaszczytem, acz małą radością, bo ciemne, dyabelskie jego oczy budzą we mnie jakiś strach nieokreślony. Mówiłam kiedyś w obecności dona Baltazara o swem pojęciu umierającego Chrystusa, acz opatrznie nie przyznałam się, jak wam, panie, że w bóstwo jego nie wierzę. Don Baltazar wezwał mnie na drugi dzień do swego pałacu, w którego marmurowych salach królewski panuje przepych. Zaprowadził mnie do swego złotem lśniącego oratoryum, gdzie ołtarz dotąd próżny stoi, i rzekł: „Dusza moja znękana jest namiętnościami, zleniwiała przy ciągłem odmawianiu różańca, stępiała w bojach, które nieustannie wiedzie w tej buntowniczej, kacerskiej, przeklętej ziemi. Nie zdołam się już naprawdę modlić. Postaw mi, pani, na próżnym ołtarzu tej kaplicy Chrystusa takiego, o jakim wczoraj mówiłaś, takiego, aby agonią swą mnie wstrząsnął, aby niemym wykrzykiem drzemiącą duszę moją zbudził — a zasypię cię złotem, a wywyższę ku gwiazdom imię twoje!" Tak Inulcie, przyjacielu, mówił mi don Baltazar i od tej doby żyję, jak w gorączce... Inulcie, stworzę Chrystusa podług twojej twarzy, stworzę go z całym niezmiernym bólem, gnieżdżącym się w twojej piersi! Niemy wykrzyk twojej śmiertelnie smutnej twarzy, musi wzbudzić ludzkie uczucie w posępnej szatańsko pysznej duszy tego Hiszpana, wzruszy go do łez! Będzie to, jakby cały ten wasz nieszczęsny kraj przez usta twoje Boga się pytał: „Panie, Panie, czemuś mnie opuścił?" Mogłoby to być zbawieniem dla Czech! Słyszysz, Inulcie, płacz głębokiej tej rzeki? Widzisz, jak Praga ramiona wyciąga rozpacznie ku gwiazdom?

Zamilkła, płonące jej oczy błagalnie tkwiły na jego obliczu. Inultus drżał całem ciałem; chwycił obie jej ręce..

— Uczynię, czego żądacie, madonno! — zawołał w ekstazie.—O! przywiążcie mnie tedy do krzyża. Włóżcie całą boleść tej ziemi, tak, jak ona wam wyjrzała z mej twarzy, w rysy swego umierającego Chrystusa, a może wzruszy się wreszcie owo serce kamienne na ten widok! I w duszy waszej ozwie się w ciągu pracy głos cichy, który wam szepnie, że Chrystus w istocie żył i Bogiem jest?

Flavia uścisnęła mu rękę.

— Może stanie się tak— rzekła odwracając oczy, aby niewiary z nich nie wyczytał. — Teraz odejdźcie, przyjacielu—dodała potem — a stawcie się jutro rano. Worek mój jest dla was otwarty, a serce moje przepełnia wdzięczność.

Machnął ręką, jakby prosząc, by o tem nie mówiła.

— Dobranoc!—rzekła.

I zawołała starego Gwidona, który Inulta z domu wypuścił i drzwi za nim zawarł.

Flavia stała jeszcze chwilę w zamyśleniu u otwartego okna, gdy weszła Placyda.

— Patrz — rzekła staruszka, i pokazała jej skorupy szklanki.

— No, cóż?—spytała Flavia.

— Wenecki ten puhar, z którego gość twój pił, pękł, zanim go się dotknęłam. Ten mąż sprowadzi nieszczęście do twego domu.

Flavia uśmiechnęła się.

— Wiesz — rzekła — że nie jestem zabobonna.

— Gdy wszedł do domu, a ja wam świeciłam — rzekła Placyda głuchym głosem — widziałam samą siebie stojącą na dole przy schodach, widziałam ciebie i Gwidona, podnoszących przywarte drzwi podziemia, widziałam siebie, jak jego, tego gościa, krwią broczącego, do podziemia wrzucam.

— Idź spać, Placydo — rzekła spokojnie Flavia.—Spałaś już w chwili, gdy nam świeciłaś, a sny twe są zawsze ciężkie i straszliwe.

— I często prorocze—dodała Placyda.

Potem rozeszły się obie bez dalszej rozmowy.

Inultus tymczasem błądził po śpiącej Pradze w prawdziwej gorączce; marząco spoglądał to ku gwiazdom, to na ciemną rzekę, wyciągał ramiona ku cieniom głębokim i wołał z uniesieniem do Boga, aby to jego i Flavii marzenie urzeczywistnił.

Rano, blady i śmiertelnie znużony zakołatał do zamkniętych wrót rzeźbiarki włoskiej.

Niemy sługa otworzył mu i uśmiechając się przyjaźnie, zaprowadził go do pracowni. Donny Flavii tam jeszcze nie było, Placyda tylko weszła wkrótce.

— Pani poleca—rzekła do Gwidona — byś zrobił, co ci wczoraj kazała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Dobroczynność.

W dniu 13 Stycznia roku bieżącego dało Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności w rozmaitych przytułkach swoich schronienie 206 chłopcom, a mianowicie: w zakładzie sierot męzkich przy ulicy Freta 166 — na kolonii Drewnica 30— w przytułku hr. Zamoyskiej przy ulicy Maryańskiej 10. Wychowanek było razem 306, a w szczególności: W zakładzie dziewcząt sierot przy Krakowskiem Przedmieściu 80 — w przytułku przy ul. Hożej 42 — w przytułku św. Antoniego ul. Nowogrodzka, 25 — w przytułku św. Rodziny na Ordynackiem, 13 — w przytułku św, Józefa przy ulicy Hożej, 25—w przytułku św. Zofii przy ulicy Pięknej, 62 — w Schronieniu sług na Sewerynowie, 48 — w oddziale schronienia przy ulicy Drewnianej, 11.

Na posiedzeniu wydziału sierot i przytułków przy Towarzystwie Dobroczynności, odbytem w d. 14 Stycznia, odczytanem było sprawozdanie z czteroletniej działalności warsztatów naukowo-rzemieślniczych imienia Kronenberga dla sierot chłopców. Ze sprawozdania przekonano się, że ogólna suma zysków za ten czteroletni okres z warsztatów krawieckich wyniosła 1,906 rs.—z warsztatów szewckich 1,213, że przeciętna ilość wychowańców była 21, a koszt utrzymania jednego wyraża się w cyfrze 164 rs. na rok.

Czytelnie ludowe.

„Kuryer Warszawski" donosi, że złożony władzy przez p. Hipolita Wawelberga fundusz 10,000 rs. z przeznaczeniem na czytelnie ludowe, zużytkowanym będzie z decyzyi Warszaw. Generał-Gubernatora, wyłącznie na urządzenie czytelni ludowych po wsiach przy gminach.

Przegląd mód.

Paryzkie żurnale przysyłają nam modele toalet balowych; snać tam się zabawa już dawno rozpoczęła. Nie wiem czy nasze panie naśladować je zechcą — obcisłość bowiem przechodzi wszelkie pojęcie; wprost zrozumieć nie można, jak kobieta w tańcu, gdzie pewna swoboda ruchów jest niezbędną, obracać się może. Kadryl, lansier, to jeszcze, ale nasz dziarski mazur niemożebny jest w takim woreczku. Ubranie dolne pań w ścisłem do tego jest zastosowaniu. Nie nosi się literalnie nic, prócz wązkich „pantalons duvetés," osoby zaś mniej wrażliwe na zmiany temperatury — noszą trykoty.

Suknie balowe obcisłe od góry, przybrane są w dole kilkoma wolantami, przez co suknia lekka na świeżości zyskuje, i wśród tańca nie plącze się od dołu. Dużo także sukien, mianowicie z jedwabnych materyi, widzimy z tunikami, które zyskują już coraz większe prawo obywatelstwa w Warszawie, i z wiosną staną się u pań naszych z pewnością rzeczą niezbędną. Balowe suknie w tej chwili, wykonane z lekkich jedwabnych materyj, pokrywają tunikami z koronek lub z malowanej krepy, czasem z plisowanej gazy.

Kształty tych tunik są najrozmaitsze; z przodu szpiczasto zakończone, czasem od przodu i tyłu zaokrąglone, lub też z przodu rozwarte zupełnie. Najnowszym wszakże fasonem jest tunika z przodu zaokrąglona krótsza, sięgająca kolan, z tyłu dotykająca końca sukni. Wszystkie jednakże formy mają równy kształt w górze, to jest obcisłe, jak tylko można najwięcej, by niczem kształtów kobiety nie pogrubiały. Zauważyliśmy także jako nową odmianę, tunikę potrójną, rodzaj wolantów spadających jeden na drugi; dla osób szczupłych, nie mogących wszelkich obecnej mody fantazyi zadowolnić, będzie ten rodzaj tuniki bardzo korzystnym.

Staniczki tegorocznych balowych toalet uległy wielkiej zmianie; wykroje będą tak głębokie, iż z staniczka połowa tylko zostanie; jak się on w zapędach walcowych i galopadowych utrzyma na ramionach, to już tajemnicą jest specyalną. Wykrój tak jest kolisty, że ramiona obydwa wychodzą ponad i tylko gałązki kwiatów, wstążeczka przerzucona, służy za podtrzymanie. Moda miewa wybryki szalone, lecz taktowi naszych pań ufamy, że będą wiedziały jak daleko tutaj jej kaprysom sięgnąć wolno. Do tych staniczków rękawy najmodniejsze długie, całe namarszczone i zachodzące aż na dłoń.

W przeciwieństwie do staniczków balowych mocno wykrojonych, pojawia się stanik wysoki, mający niewielki wykrój kwadratowy u samej szyi; jest to wycięcie na wszelkie okazye: na wieczorki nietańcujące, nudne rauty, winty, nawet i na pogrzeb.

Suknie spacerowe, kostyumy—nie odrzuciły zupełnie fasonu „princesse," owszem w tej chwili więcej się zaczyna pojawiać, lecz stosując się do panującej mody, zwykle od przodu rozchyla się, lub na bokach, ukazując od spodu drugą spódnicę.

Wszystkie te stroje damskie obecnej chwili przypominają nam ubiory pań z przed kilku wieków. Suknie przy staniczkach, mające karczkowe przybranie, rękawy obcisłe długie, zachodzące na pół dłoni i często w odmiennym kolorze, wszystko stawia nam przed oczyma damy z dworu Karlowingów; tem więcej, że i paski metalowe, nabijane kamyczkami, z opuszczającymi się łańcuszkami, zupełnie naśladują elegancyę owych czasów.

Jako przybranie tuniki ukazuje się na widowni dawno zapomniana frendzla — wszystko, co stare, powraca znowu i witane jest przez świat modny jako nowość.

Mówiąc o toaletach balowych tak dużo, nadmienić musimy kilka szczegółów niezbędnych przy dokończeniu toalety. Bransoletek używa się w tej chwili bardzo mało. Przy staniku wyciętym najnowszą rzeczą są łańcuchy na szyi, najrozmaitszych pomysłów; okręca się je dwa razy wokoło, jeden skład spada niżej i ma najczęściej medalion, serduszko, amulet wiszący, drugi otacza mocno szyję.

Rękawiczki do balowych sukien białe lub duńskie, bardzo jasne.

Jako zarzutki pełno nowych pięknych rzeczy przeważnie przybierane futrami, również całe futrzane, gronostajowe, sobolowe.

Upodobanie pań do wszelkiego rodzaju futerek tak się rozpowszechniło, że wszystko zaczyna się futerkami oszywać. Widzieliśmy t. zw. „couvre-pied" na szeslong, z atłasu różowego, pokryty aplikacyami koronkowemi i cały podbity futrem szenszylli; wokoło był wolant koronkowy i paseczki szenszyllowe, mięszane z wstążką różową atłasową. Śliczne to było, ale jak na przeciętną kieszeń—niemożliwe. Są to zbytki, o których się czyta, ale nasze rozsądne panie wiedzą zawsze gdzie meta.

Z. A.

Wskazówki i rady.

Purée z grochu.

Kwartę zwyczajnego okrągłego grochu wsypać w półtorakwartowy garnek, nalać miękką wodą i zagotować; gdy się dobrze zaszumuje, bo szumowiny wychodzą na każdej gotującej się rzeczy, odebrać go, czyli odlać wodę, w której się gotował, wypłókać w świeżej wodzie, wsypać napowrót w garnek i nalać ciepłą koniecznie wodą, bo nalawszy go zimną, można gotować 6 godzin, a będzie zawsze twardy. W czasie gotowania włożyć łyżkę masła, jedną białą, sparzoną cebulę i jedną pietruszkę. Gdy się już groch na wolnym ogniu dobrze rozgotuje, cebulę i pietruszkę wrzucić w groch, rozetrzeć go w garnku wałkiem, a następnie przetrzeć łyżką przez rzadkie włosiane sito. Używając do pasztetów, uważać należy aby była właściwa ilość sosu w grochu do roztarcia potrzebna, jeżeli się wygotował, dolać gorącej wody. W rondelek włożyć łyżkę młodego masła, zagotować na biało z ćwierć łyżką mąk i gdy się zgęstnie, rozprowadzić półkwaterkiem słodkiej śmietanki, tą zaprawą rozprowadzić przetarty groch, włożyć w gorący rondel, w którym była gorąca woda i rozgrzać pod pokrywą na ciepłej blasze, ale nie na fajerce, bo nic się tak łatwo jak groch nie przypala.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i dla zamiejscowych prenumeratorów prospekt „Przeglądu Pedagogicznego."

Дозволено Цензурою Варшава 5 Января 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

— Dotąd słyszałem tylko o wczorajszem zajściu, zapewne więc nie wiem o wszystkiem. Od wczoraj, blizko doba już upłynęła. Dowiedziałem się późno — za powrotem do domu. Przez całą noc oka nie mogłem zmrużyć; niespokojność spędzała mi sen. Na Boga panie Piotrze, mów co się stało, co porabia Kazimierz?

Piotr spuścił głowę i wzruszył ramionami; nie wiedział co rzec, jak zacząć.

— Stosownie do naszej umowy — ciągnął dalej magnat, czekałem was obu wczoraj z niecierpliwością. Przeklęty, fatalny dzień! właśnie ten, który wybraliśmy na wzajemne upewnienie o blizkiem osiągnięciu najgorętszych naszych nadziei — dzień zaręczyn! Dziwna rzecz! jak gdyby w przeczuciu wypadku, nie uprzedziłem mojej córki; chciałem sprawić jej niespodziankę. Tem lepiej!... Oszczędziłem jej dzień zmartwienia i niepokoju. Wreszcie mniejsza o kilka dni; pierwszego poranku po załatwieniu sprawy powetujemy stratę. Nieprawdaż panie Piotrze?... Przez miłość Bożą mów co się dzieje, wprawiasz mnie w okropną trwogę! Czy pojechali się bić... czy wrócili — czy stało się jakie nieszczęście?

Piotr machnął ręką; bolesny uśmiech przebiegł mu po licu.

— Cóż więc?... niepodobna aby od wczoraj, rzecz na krok dalej się nie posunęła.

— Czy znasz pan hrabia szczegóły wczorajszego zajścia? — rzekł nagle Poraj podnosząc ku niemu oczy, jak gdyby wszczynał nową rozmowę.

— Słyszałem je po kilka razy od naocznych świadków.

— Znasz więc wszystko; ja nic więcej nie mam do powiedzenia.

— Jakto?... nie rozumiem — każda przecież przyczyna ma swoje skutki.

— Tak i ja dawniej sądziłem; pokazuje się, że obaj byliśmy w błędzie.

— Na honor, z zagadki wpadamy w zagadkę; nie domyślam się nawet pierwszego słowa i nie znajdę go, choćbym przez wiek szukał, tembardziej, że daleki jestem od spokojnego umysłu. Przecież stanowimy jedną rodzinę; co was obchodzi to i mnie dotyka. Kazimierz jest moim synem; spokojność jego, szczęście, honor równie są mi drogiemi jak moje własne. Wprawdzie Wilczek jest blizkim moim krewnym, naganny atoli jego sposób postępowania, oddawna odebrał mi ku niemu serce. I jemu także zajechała była do głowy myśl starania się o moją córkę. Wręcz odmówiłem. Miałem słuszność. Bóg mi to wynagrodził, zsyłając zięcia w Kazimierzu. Tenże sam Bóg — spodziewam się — oddali od niego niebezpieczeństwo, godnie, uczciwie, szlachetnie wybawi z położenia, w jakie wtrąciła go zuchwała, szalona lekkomyślność Władysława. Radbym tylko wiedzieć, na czem stanęło?... W mieście o niczem innem nie mówią; plotki przedrą się wkrótce do mojego domu. My, mężczyźni bierzemy rzeczy więcej na rozum, ale kobietom za wszelką cenę należy oszczędzić niespokojności. Cóż im odpowiem gdy mnie zapytają?

Żeby się daremnie nie trwożyły — odrzekł Piotr ponuro — że nikt dotąd nie myśli o pojedynku.

— Co słyszę? — zawołał Sokolnik, udając głębokie zadziwienie Wilczek nie przyjął wyzwania?... niepodobna! Szaleniec, zapamiętała głowa — znam go, w honorowych atoli sprawach nikomu nie odmówił zadośćuczynienia. Może przeprosił?... na nie szczęście to mniej jeszcze do niego podobne.

— Wilczek nie miał czego odmawiać, nie miał kogo przepraszać; ani jednego, ani drugiego nikt dotąd po nim nie żądał.

— Co mówisz, panie Piotrze?... Kazimierz miałżeby?...

— Dość tego, panie hrabio — odparł Poraj — prawdy nie ma co w bawełnę owijać. Brat mój Kazimierz bić się nie chce. Mówię otwarcie. Wiem, ile winienem szlachetnej przyjaźni, jakiej w domu pańskim doznałem. Chciałbym sam własnym słowom nie wierzyć. Darmo!... z boleścią muszę powtórzyć: Kazimierz nie chce słyszeć o pojedynku.

Sokolnik roześmiał się z niedowierzeniem.

— Zgaduję — rzekł — prosił cię o tajemnicę; obiecałeś przed nikim jej nie zdradzać, aleź mnie za obcego uważać nie możesz. W razie nawet, gdyby z bratem twoim nie łączyły mnie żadne stosunki, ty sam panie Piotrze nie masz bliższego i szczerszego odemnie przyjaciela. Czy zapomniałeś już, że ja i rodzina moja winniśmy byt szlachetnemu twemu poświęceniu? Do trosk twoich niezaprzeczone mam prawo, i prawa tego nikomu nie ustąpię. Przeciwność jest wdzięcznem dla przyjaźni tłem, dzielnym probierzem prawdy i siły uczucia.

Piotr znękany na duszy, z rozrzewnieniem przyjął braterską dłoń, jaką magnat ku niemu wyciągał, krzepko ją uścisnął i rzekł:

— Bóg zapłać panie hrabio. Umiem cenić łaskawe względy, powtarzam jednak i przysięgam na uczciwość, że w tej chwili nie ukrywam żadnych tajemnic. Bratu mojemu żartem nawet fałsz przez usta się nie przecíśnie. Muszę przyznać mu tę zaletę, że słów na wiatr nie rzuca. Cały wieczór, aż do późnej nocy strawiłem z nim na rozmowie. Zużyłem wszelkie dowody na przekonywanie go o konieczności orężnej rozprawy z Wilczkiem.

— Cóż odpowiedział?

— Wręcz oświadczył, że bić się nie będzie, że niepotrzebnie ofiarowałem się za świadka — chciałem bowiem natychmiast iść do Skałki, i ułożyć z nim spotkanie.

— Jakież dawał przyczyny?

— Bóg raczy go rozumieć! - prawił o zemście, klął przesądy świata, wzgardę miotał na głos publicznej opinii, utrzymywał, że o godność swoją dba dla siebie nie dla ludzi, że nikt nie ma przywileju wyrokować o nim, stawać się sędzią jego honoru i sumienia. Na dowodach mu nie brakowało; otrzymał świetne wychowanie, płynnie wyrazić się potrafi. Ja tymczasem, prostak, wyciągnąłem ten tylko wniosek, że wygórowane nauki, zamiast oświaty w obłęd ciskają rozum i serce. Znieważony, a nieprzeproszony bije się—dalej wymowa moja nie sięga.

— Nie, panie Piotrze — przerwał dygnitarz po chwili zobopólnego milczenia.—Sam mylisz się i mnie ciągniesz za sobą na omylne twoje szlaki. Jest w tem coś, czego obaj nie rozumiemy. Czy brat twój miał już w życiu jaki pojedynek?

— Nie słyszałem.

— Nie wiesz więc jak zwykł w podobnych razach postępować. Każdy ma swoją metodę; najlepszą jest więcej czynić niż mówić, krewnych i blizkich przyjaciół o niczem nie zawiadamiać; dla spokojności, w błąd ich nawet wprowadzać. Kazimierz wiedział, że nic nie zyska wpędzając cię na kilka chociaż godzin w niepotrzebną trwogę. W obu was przecie płynie ta sama krew. Bądź pewny, panie Piotrze, że myśl, na którą twoja natura się oburza i jego charakterowi równie jest przeciwną.

— Tak by się przynajmniej zdawało; pozory jednak często mylą. Z bratem moim nazwisko tylko mamy wspólne.

— Zaprawdę — odrzekł Sokolnik — nie spodziewałem się, ażebym ja, kiedyś potrzebował bronić przed tobą Kazimierza.

— Nic dziwnego. Pan hrabia ulegasz wpływowi własnych przekonań, nie pojmujesz, jak człowiek młody, wiodący ród z uczciwego szlacheckiego gniazda, może do tego stopnia zaślepnąć na najświętsze obowiązki względem siebie, względem rodziny i świata. Niedaleka przyszłość pokaże nam, że zdarzają się niekiedy rzeczy całkiem nieprawdopodobne.

— Przyjmuję odwołanie się do przyszłości; ufam jej i spodziewam się, że mnie nie zdradzi. Dopóki na własne oczy się nie przekonam — nie pojmę, nie uwierzę, aby zajście tak daleko posunięte miało skończyć się na niczem. Nie idzie o to kto zawinił, kto niewinny; jeden musi dowieść, że za szaleństwo gotów odpokutować, drugi, że bezkarnie nie zdoła przepuścić ciosu zadanego jego honorowi. Zbaczający z tej drogi prostej i jedynej—naturalnym porządkiem rzeczy utraci to, o co niedba, czego nie chciał bronić. Rozumowanie jasne jak słońce; Kazimierz doskonale je pojmuje. Nikt mi nie wytłumaczy, aby młody człowiek z jego głową, z jego uczuciami, z jego wychowaniem mógł tak dalece dać porwać się obłędnym pojęciom; nikt mnie nie przekona, aby brat twój, nad własną godność przenosił życie w niesławie.

Znam trochę ludzi. Nie chciał przyjąć cię za świadka—poznaję w tem jego serce; obecność brata na placu spotkania dla obu was mogła być przykrą. Odmówił bezzwłocznego pojedynku?... Człowiek poważny, w podobnych razach potrzebuje opatrzeć się, rozporządzić. Stanowczego zamiaru wytrwania w obojętnem przyjęciu krzywdy, daruj mi — ale nie widzę.

Wywody Sokolnika zachwiały nieco zrozpaczonem przekonaniem Poraja; on z takiem szczęściem byłby go się wyrzekł zupełnie! Niepodobna mu było atoli pogodzić własnych nadziei z tonem niezmiennego postanowienia, w jakim brat oświadczył mu był wczoraj ostateczne swoje zamiary. W obawie przedwczesnych nadziei i dotkliwych odczarowań, z powątpiewaniem przyjął pocieszające argumenta magnata.

Sokolnik nie pozwolił mu snuć dalej posępnych myśli; surowe dotąd oblicze rozwidnił uśmiechem i rzekł:

— Trochę cierpliwości, trochę zaufania, kochany panie Piotrze; przeczuwam, że obaj ugryźliśmy przedwczesny, nieuzasadniony stosunek. Kazimierz w pierwszej chwili mógł uledz ponęcie ekscentrycznych jakichś zapatrywań, nie wątpię jednak, że po kilku godzinach rozwagi wróci na prawdziwą drogę. Młodzież niechętnie poddaje się zwyczajowi; radaby zawsze coś nowego i lepszego wynaleźć.—Do widzenia panie Piotrze; jutro spodziewam się obaczyć cię spokojnym i wesołym.

— Ale — zapomniałem dodać małą uwagę, którą zapewne sam uznasz za stosowną. Oddaję ja wreszcie pod twój sąd. Przed pojedynkiem, lub przed załatwieniem zajścia: mniemam, że lepiej byłoby, aby młodzi nasi zakochani przestali się z sobą widywać. Kobiety moje domyślają się — w tej nawet chwili zapewne wiedzą o wszystkiem. Nie zaszkodzi uniknąć niepotrzebnych rozmów; oszczędzić im daremnych niepokojów — jak sądzisz?

Piotr uznał słuszność uwagi i przyrzekł udzielić jej bratu, który sam, bezwątpienia, wpad już był na podobną myśl.

— Wilczek nie powinien być w domu — mówił sam do siebie, odchodząc Sokolnik, czyli raczej, chociażby na krok się nie ruszał, ja nie powinienem go zastać. Zagorzalec ten, umie tylko zawadzać. W niebezpieczną gram grę; dwa losy przeciw jednemu stawiam—córkę i własny byt. Jeżeli młodszy brat się namyśli, jeżeli przyjmie pojedynek i szczęśliwie go załatwi, muszę mu oddać córkę. W odmowie walki, lub od biedy w trafności Wilczka jedyna moja nadzieja. Byle tylko starszy nie zerwał umowy, nie zażądał pieniędzy!—Ba!... pan Piotr miękki jak wosk, sentymentalny jak młoda dziewczyna. Raz ujęty za serce na wędkę szlachetnych uczuć, da się zaprowadzić na koniec świata. Dalej do dzieła!... Trzeba wedle świętych słów Ojca Zefiryna, kuć żelazo póki gorące...

Piotr tymczasem zamajaczony pocieszeniami magnata, oburącz uchwycił się ostatniego, jaki mu zostawał, promyka nadziei. W istocie, dlaczegożby Sokolnik nie miał jaśniej od niego przewidywać wypadków, dlaczego nie miałby odgadnąć skrytych myśli Kazimierza — on, człowiek w świecie wyżyty, świadomy ludzi i rzeczy? Na zaofiarowanie pojedynku nie było jeszcze zapóźno; Kazimierz mógł wyrzec się nieszczęsnych postanowień, gdyby zwłaszcza udało się przekonać go, że sposób widzenia starszego brata podzielali ludzie zacni i doświadczeni, w pierwszem zaś miejscu, ojciec Maryi, Sokolnik.

Po wczorajszej atoli waśni, Piotr nie miał serca wszczynać z bratem powtórnej rozmowy, tem mniej wszelako chciał opuścić sposobność poparcia swego zdania jednym więcej, ważnym dowodem.

Zatoczył do koła przenikliwym wzrokiem, jak gdyby szukając środków wybrnięcia z kłopotu. O kilka kroków przed sobą spostrzegł sklep księgarza, z którym często miewał stosunki, i gdzie co dnia prawie zachodził dla przeglądania świeżo wyszłych książek i zagranicznych gazet. Wszedł do księgarni, pozdrowił obecnych i udał się do małej izdebki tuż za kantorem, gdzie właściciel sklepu dla bliższych znajomych trzymał na pogotowiu literackie nowości i niektóre dzienniki.

„Posyłam — pisał do brata — te kilka słów z miasta, gdzie o niczem nie mówią, tylko o wczorajszym wypadku. Oburzenie przeciw Wilczkowi zdaje się powszechnem, równie jak i nadzieja, że szaleństwo to, z jego strony, będzie ostatniem. Widziałem Sokolnika. Pomimo związków krwi, jakie łączą go z napastnikiem, nie mógł znaleść dość słów na potępienie niegodziwego postępku. Wspominał mi o tobie z głębokiem spółczuciem, i żalił się na konieczność, która często zmuszała niewinnie pokrzywdzonego do narażania własnego życia w odpowiedzi na poniesioną zniewagę. Hrabina i córka jej, wiedzą już o wszystkiem. Sokolnik uczynił mi uwagę, że dla spokojności tych pań, lepiej może byłoby zostawić je same, aż do załatwienia zajścia z Wilczkiem. Jeżeli mnie potrzebujesz — daj znać jednem słowem. Wczorajsza rozmowę puśćmy w niepamięć; obaj nie byliśmy przy swobodnej myśli.“

Piotr posłał z listem sklepowego chłopca, przykazał mu pośpiech; sam wziął jakąś gazetę i machinalnym wzrokiem szukał w niej możebnej od brata odpowiedzi. Chłopiec uwinął się z poleceniem; w kwadrans był już z powrotem. Przynosił odpis. Piotr czekał go na progu; drżącą ręką pochwycił pismo, zewsząd je opatrzył, lękał się rozłamanej pieczęci.

„Domyślałem się — brzmiał list młodszego Poraja — że wczorajszy wypadek jest treścią rozmów całego miasta, a nawet i przedmieść. W podobnych razach to samo dzieje się we wszystkich miastach. Wdzięczen jestem Sokolnikowi i tym, którzy w sprawiedliwości sumienia, na winnego składają winę. Jestto wszystko, co mogę uczynić dla opinii. Sądu atoli o konieczności i o stosownej porze do narażenia życia za poniesioną zniewagę, nikomu przyznać nie zdołam. W tym względzie sam jestem ostatecznym sędzią. Szczerze żałuję niepokoju, jakiego mimochętnie nabawiłem hrabinę i jej córkę, więcej jednak żałuję niepotrzebnej i niewczesnej uwagi Sokolnika względem tegoż spokoju, droższego dla mnie niż dla kogokolwiek w świecie.

Zrozumiałem ukryte znaczenie przestrogi, ale uprzedzam, że co do mnie, żadnym warunkom się nie poddam, żadnym zewnętrznym wpływom nie ulegnę. Postąpię według własnego przekonania; wypowiedziałem je wczoraj, i każdy ciekawy może je usłyszeć powtórzone w tychże samych słowach, dziś, jutro i kiedy się mu podoba.

Piotr konwulsyjnie gniótł papier; szarpał go w drobne kawałki.

Znał Kazimierza, odgadł, widział go upartego na zabój, nieugiętego jak głaz, gubiącego siebie i drugich, niweczącego swoje i cudze szczęście bez żadnej nadziei ocalenia. Wszystko było straconem bez ratunku, na zawsze!

Małżeństwo, zwada, pojedynek — trzy fakta złączone naraz w jednym człowieku!... Kazimierz dostarczał miejskim językom niewyczerpanych skarbów.

Posłuszny zasadzie strzeżenia wiernych dusz od niebezpiecznych stosunków, Zakon OO. Jezuitów, pierwszy wziął się do dzieła. Rozstawił czaty, wysłał harcowników, opatrzył stanowiska, urządził strzelnice.

Rozkaz dzienny brzmiał mniej więcej następującą treścią:

Kazimierz strawiwszy onegdajszą noc na kartach i przegrawszy znaczną summę, którą w wigiliją pewna nieszczęśliwa wdowa z siedmiorgiem dzieci powierzyła była sumieniowi i hypotece braci Porajów — rozdrażniony przeciwnym losem, rzucił się w kielichu szukać pociechy. Wczoraj z rana, widziano go zataczającego się na ulicy. Nieszczęsny nałóg! Około obiadowej pory wszedł do wielkiego hotelu, gdzie zastał liczne towarzystwo, a między innymi Wilczka.

Gniewny sam na siebie, zgorączkowany, ni ztąd ni zowąd, począł obecnym ubliżać wzrokiem, gestem i postawą. Napominano go kilkakrotnie — napróżno! Z każdą chwilą tracił przytomność, wychylał gęste kielichy, srożył się zwłaszcza przeciw Wilczkowi, kłół go cierpkiemi wyrazy, aż nareszcie do tego doszło, że rozjuszony zimną krwią swego przeciwnika, porwał się do krzesła. Straszne zgorszenie!

Wilczek pomiarkował, że należało kres położyć przykrej scenie, sam też, trochę w gorącej wodzie kąpany, poskoczył na napastnika, ujął go silnie za barki i wyrzucił za drzwi. Okropne skutki złego wychowania.

Nazajutrz oczekiwano pojedynku, ale Kazimierz wytrzeźwiony, przypomniał sobie znaną zręczność Wilczka i odwagę. Zamiast wystąpienia na plac, wdał się w przeprosiny; ze wzgardą odepchnięty, krył się odtąd przed ludźmi i mścił rozsiewaniem przeciw hrabiemu Władysławowi pokątnych potwarzy, którym atoli nie uwierzy żaden rozsądny człek. Prędzej czy później prawda wychodzi na jaw—fałsz odnosi zasłużoną karę.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

DENTYSTA CHWAT
Królewska 29.
Specjalność: Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937-25-22

S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI
dawniej
M. SZYMAŃSKI
Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych
w Warszawie, Senatorska № 10
poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-1

„PRIMUS"

Kuchenki naftowo-gazowe palące się ***bez knota***, nie wydzielające odoru i kopcia.
Sprzedaż u
Ed. Dusoge
Nowy Świat 5.
Cenniki gratis i franco. 945—25—23

K. M. Schröder
Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—52—23

„CARMEN"
Nowa Pomadka VOGTA nadająca w Mgnieniu Oka nieporównany połysk wszelkim metalom, nadeszła do Składu **ADAMA KEMPIŃSKIEGO,** Ś-to Krzyska 39, róg Marszałkowskiej. Cena Kartonu zawierającego **36** pudełek 5-cio kop. **Rb. 1.26 k.** Dostać można wszędzie. 948-15-12

Kapelusze, suknie żałobne
oraz wszelkie przybory pogrzebowe poleca:
Kaucyonowane Przedsiębiorstwo Pogrzebowe
F. WODECKIEGO
ul. Marszałkowska 106
pomiędzy Chmielną a Widok.
Załatwia kompletne pogrzeby i przeniesienia zwłok szybko, akuratnie i tanio. 1029.

Przygotowanie i sprzedaż dozwolona na ogólnych prawach handlu Warszawską Radą Lekarską za № 2022.
„DENTOL"
Proszek do zębów
wynalazku
W. Tomczyńskiego
Denthol nie ściera emalji, nadając biały kolor zębom, zapobiega próchnieniu, oraz dezynfekuje jamę ustną. 1036-12-6
Główny Skład
Warszawa, ulica Leszno Nr. 28.
Żądać w aptekach i w Składach aptecznych.

„GABRYELA"
Magazyn kapeluszy damskich i dziecinnych,
Pracownia sukien
I NAUKA KROJU
oraz NAUKA STROJÓW.
Chmielna N-r 19, mieszkania 10.
814—25—25

Znacznie powiększona
BIESIADA
LITERACKA ILLUSTROWANA
DLA RODZIN POLSKICH.
Redaktor Władysław Maleszewski.

5 rs. rocznie w Warszawie. — **6 rs.** rocznie z przesyłką.

Powieści, podróże, sztuki piękne, wiadomości z literatury, biografii, pedagogii, chwili bieżącej, polityki, z naszych miast, wsi, z zagranicy. Rebusy, szarady i t. p. rozrywki. Liczne illustracye wypadków w kraju i zagranicą. Kopie obrazów, rzeźb, krajobrazy, pomniki, portrety, zabytki przeszłości. Spółpracownictwo znanych literatów i artystów. **Premia bezpłatne do wyboru:** Książki, obrazy kolorowane, między niemi Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga, Rozkosze dziadunia, W polskim lesie, portrety Sobieskiego, Czarnieckiego, Jadwigi, X. Skargi, J. I. Kraszewskiego, Mickiewicza.
1 k. 50 — DODATEK DO BIESIADY — **2 rs.**
WYBÓR PODRÓŻY I POWIEŚCI Z RÓŻNYCH EPOK I KRAJÓW.

Czytelnik rozszerza lub odnawia swą wiedzę, przez przypomnienie faktów dziejowych.
Upraszamy dotychczasowych prenumeratorów Biesiady o wiadomość: od którego roku trwa ich prenumerata i o aforyzm własny. W „HERBARZU JUBILEUSZOWYM" pomieścimy aforyzmy najlepsze i nazwiska czytelników, którzy są sprzymierzeńcami i przyjaciołmi Biesiady.
Prenumeratę nadsyłać można rocznie, półrocznie, kwartalnie. ☛ Prospekt i numer okazowy wysyłamy na żądanie bezpłatnie.
Adres: Biesiada Literacka, Warszawa, Chmielna 26.

ZAKŁAD SZCZOTKARSKI
Józefa Wasilewskiego,
Egzystujący od r. 1889 w okolicy placu Ś-go Aleksandra — znacznie powiększyłem i przeniosłem do nowo-otworzonego Sklepu
przy ul. Mokotowskiej № 55.
Daje wyroby trwałe.
Ceny przystępne.

Skład Fortepianów i Pianin



K. O. FIEDLER
Warszawa, 64 Nowy Swiat 64.
Częstochowa 2-ga Aleja dom W-go Bessera
Sprzedaż na raty i wynajem
na składzie fortepiany: Blüthnéra, Bekkera i innych
Pianina od rub. 300 z poręczeniem.
☛ ***Przybory do fortepianów*** ☚
1009-12-12

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-23
Michał Pik, optyk mech. m. Warsz.
Warszawa, ulica Miodowa nr. 41

MAGAZYN MEBLI
Bracka Nr. 25.
oraz
Zakład Tapicersko-Dekoracyjny
Leszno Nr. 24.
ANTONIEGO STRÓMIŁO
przyjmują zamówienia na całkowite urządzenie Apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. 1026-52-7

NOWY ZARZĄD
CZYTELNIA DLA KOBIET
Warecka 9.
Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—25
Wysyłka na prowincyę.

Przewodnik Illustrowany
po WARSZAWIE,
67 rycin, wielki plan Warszawy, plany teatrów, cyrku etc.



Cena egzemplarza w oprawie **15** kop.
z przesyłką pocztową rekomendowaną **35** kop.
Do nabycia we wszystkich księgarniach
— ORAZ —
w Administracyi „Tygodnika Mód i Powieści".

PRZYJACIEL DZIECI
PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE
Nauce i Rozrywce Młodzieży Poświęcone.
W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.
Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.
Premium bezpłatne książka.
Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. **1**, rocznie rs. **4.** Na prowincyi kwartalnie rs. **1** k. **25**, rocznie rs. **5.**
Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.**
Warszawa, Chmielna 26.
Na żądanie wysyłają się numera okazowe.

GAMASTON
Wiara ✽
Nadzieja ✽
Miłość ✽
Nowelle, z illustracyami
A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.
Rs. 1 kop. 50.
Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracyi
„Tygodnika Mód i Powieści."